

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego“

Nr. 1 | Wąbrzeźno, 2 stycznia 1927 r. | Rok 4

Ewangelja

św. Łukasza rozdz. 2, wiersz 21.

A gdy się spełniło ośm dni, iżby obrzezano Dzieciątko: nazwano jest Imię Jego Jezus, które było nazwane od Anioła pierwej, niśli się w żywocie poczęło.

Nauka z ewangelji.

Czemu chciał być Pan Jezus obrzezanym?

Jako Bóg-człowiek i Swięty nad Świętemi nie ulegał Pan Jezus prawu obrzezania, ale poddał się temu obrzędowi, gdyż pragnął okazać posłuszeństwo rozporządzeniem Ojca przedwiecznego, a Tego wolą było, aby się narodził żydem i potomkiem Abrahama i nie wyłamywał się z pod prawa obrzezania. Pan Jezus Sam później oświadczył, że nie przyszedł na to, aby znieść Stary Zakon, ale aby go uzupełnić.

Jakie cnoty polecił i wykonał Pan Jezus przy dobrowolnem poddaniu się obrzezaniu?

1. Chętne posłuszeństwo Ojcu niebieskiemu i kościelnym przepisom Starego Zakonu. 2. Najgłębszą pokorę o tyle, o ile się poddawał obrzędowi, który był ustanowiony przeciw grzechowi pierworodnemu, od którego On przecież był wolnym 3. Serdeczną miłość ludzi, dla których zbawienia po raz pierwszy Swą krew przelał. Ofiarną gotowość do ponoszenia mąk na odpokutowanie grzechów naszych.

Jak mamy i możemy Panu okazać wdzięczność za tę tajemnicę?

Okazać ją możemy w ten sposób, że dokonamy sami na sobie obrzezania serca. Dokonamy zaś tego, gdy się na nas ziszczą słowa Pańskie: „Kto chce być Mym uczniem, niech sam siebie zaprze". — „Gdy cię oko gorszy, lub ręka, albo noga, wyłup oko, odetnij rękę lub nogę". Obrzezaniem serca jest przeto oderwanie się od grzechu. Tego wymaga Pan Jezus od tych, ktorzy pragną mieć udział w błogosławieństwach nowego zakonu. Jest ono potrzebnem grzesznikom, którzy chcą być sprawiedliwemi; potrzebnem sprawiedliwym, którzy chcą wytrwać na drodze sprawiedliwości.

Trzewiczki z chleba.

Obrazek wigilijny.

I.

W kilka chwil później nadszedł Szymon, ale czegoś smutny i zgryziony.

— Biedni ludziska — westchnął, rzucając czapkę na stół.

— Co się stało? — zagadnęła żona.

— Na drodze, za wsią, znaleziono dwoje zmarzniętych biedaków. Obdarte to było, głodne i pomyśleć, że to dziś właśnie, w samą Wigilję, kiedy wszyscy się radują, oni pomarli z głodu.

— Kto to był? — pytała Szymonowa i przestała prząść.

— Jakaś biedna kobiecina, pewno w twoim wieku i chłopiec nie większy od naszego Michałka. Musiała czuć, że śmierć nadchodzi, gdyż owinęła dziecko spódniczką i przytuliła je do piersi. Nie można było rozerwać. Jezu! jaka to nędza jest na świecie.

Michałek, który uważnie słuchał opowiadania ojca, przestał się bawić; Szymonowa pobladła i z zabobonną trwogą spojrzała na trzewiczki z chleba, które przy blasku ognia wydawały się jak krew.

Usiedli do uczty wigilijnej, ale nikomu nie szły do ust smaczne potrawy; mimowoli przypominali sobie zmarzniętą żebraczkę z dzieckiem i ciężko im było na sercu.

Wieczorem Michałek zaczął się skarżyć na głowę, twarz miał rozpaloną, ręce jak lód zimne. Złowrogi kaszel dusił go od czasu do czasu. Szymonowa położyła go do łóżka, ale pożerał ją niepokój. Dzieci w tym roku chorowały na krup i dyfterytus, nie jedna mała mogiłka przybyła na wiejskim cmentarzu.

II.

Rok minął i znowu nastała Wigilja Bożego Narodzenia Już noc, dzwony wzywają na Pasterkę, kościół jest pełen, brak tylko Szymonowej. Została w swojej chacie i siedząc przy ogniu, płacze gorzko.

— Michałku, mój Michałku! — powtarza jak obłąkana — i czemu śmierć cię zabrała? Czy ci źle było u matki? Oh! ja nieszczęśliwa sierota.

Rok już minął, a jej się zdaje, że to wczoraj dała mu krzyżyk w zastygłe rączki. Zimny był i blady, ale piękny jak Anieli w niebie. Ubrała go w nową białą sukienkę, a na nogi włożyła mu trzewiczki, które sam ulepił z chleba.

Odkąd synka zanieśli na mogiłki, radość uleciała z chaty. Myślała, że będzie kiedyś rzeźbiarzem, sławnym, bogatym, a teraz wszystkie te rojenia przepadły.

W tem drzwi otwierają się z cicha. Szymonowa podnosi twarz zalaną łzami i na progu widzi swego synka: bardzo blady, oczy ma przymknięte, ale w złożonych rączkach trzyma złocony krzyżyk.

Szymonowa chce się rzucić do niego, przycisnąć do serca, popieścić, ale jakaś siła nieznana przykuwa ją do ławy.

— Zlituj się, matko, zdejm mi trzewiczki z chleba — mówi Michaś zbolałym głosem.

— Chodź tu, mój synku, moje złoto, mój skarbie!.. Chodź do mnie!

— Nie mogę, matko, nie mogę.

— Dlaczego? Dziecko zawsze może przyjść do matki. Chodź!

Wyciągnęła do niego ręce, ale Michaś stał jak przykuty na jednem miejscu.

— Matko, zdejm mi te trzewiczki. Są tak ciężkie, że Aniołowie co zanoszą wszystkie dziatki do nieba nie mogą mnie unieść z ziemi.

— Ach! — krzyknęła nieszczęśliwa kobieta — ja uwolnię cię od tego ciężaru.

Dobyła wszystkich sił, żeby powstać... i obudziła się.

. . . .

Była noc, świerszcz odzywał się w kominie.. Strwożona Szymonowa pochyliła się nad łóżeczkiem synka... spał spokojnie, zdrów i żywy. W uniesieniu wdzięczności padła na kolana i składając ręce, gorąco dziękowała Bogu, że to był sen tylko.

— O Panie! oszczędź mi tej boleści, zachowaj mnie od nieszczęścia! Co ja bym poczęła bez mego Michasia, bez mego synka najmilszego!

Nagle palący rumieniec oblał jej lica, przypomniała sobie żebraczkę, która nie mogąc uratować dziecka od śmierci, umarła z niem razem... Surowy głos sumienia zapytał się:

— Coś uczyniła dla biedaków, którzy wczoraj pukali do drzwi twoich?

— Przebacz mi Boże! — woła łkając.

Płacz matki obudził chłopca.

— Co tobie, matusiu? — pyta zdziwiony.

— Myślałam o tej biednej kobiecie, która tu była wczoraj z dzieckiem.

— Poszli pewnie do nieba, prawda? — mówił chłopiec — tam niema zimy.

Dzień zawitał jasny lecz mroźny, szyby w okienkach pokryły się kwiatami z lodu, błyszczącemi na słońcu jak djamenty.

— Matusiu! matusiu! — zawołał nagle Michaś, który ciekawie wyglądał na świat Boży — oni idą koło naszego domu.

Zdumiona kobieta pobiegła do okna i istotnie poznała kobietę, która wczoraj u jej drzwi żebrała. Wyszedłszy za wieś, z głodu i zimna jak nieżywa upadła na drodze i tak ją znaleźli ludzie. Nie była to jednak śmierć lecz zemdlenie.

Szymonowa wybiegła przed dom i zawołała na nich. Posadziwszy przy ogniu, nakarmiła, ubrała w ciepłą odzież i włożywszy im w sakwy żywności, obdarzyła gotówką.

Żebraczka dziękowała ze łzami.

— Daj pokój — przerwala Szymonowa — zapłaciłaś mi już spokojem sumienia. Jeśl p drodze spotkasz jakich ubogich, powiedz im niech przyjdą do naszej chaty, bo ksiądz pleban naucza, że za jeden grzech łakomstwa trzeba odpokutować całą kopą miłosiernych uczynków.

Na Nowy Rok.

Obróciło się kółko w odwiecznym zegarze
I rok spadł jak kropla, w ocean dziejowy,
Świat cierpiący i smutny zwraca blade twarze
Ku niebu — z zapytaniem co niesie rok nowy?

Czy w jutrzenki różonej spowity promienie
Rozsypie blaski szczęścia ponad ziemią czarną,
Czyli też przyjdzie mroczny otulony w cienie
I przeklnie wodę w źródlach — w łonie ziemi ziarno.

Roku Nowy? co kroki stawiasz niemowlęce,
Siejąc nadzieje słodkie w sercach wszystkim [ludom
Przynieś nam zapas siły do życiowych trudów,
I uzbrój serca w ufność, w moc barki i ręce

Daj nam promyk jasności, lecz nie tej błyszczącej
Która miga jak błędny ognik nad moczarem,
Ale owej poważnej, świętej i krzepiącej,
Co w aczach świeci ogniem, w sercach świętym [żarem..

Roku Nowy! — pacholę przyjdż z temi [darami,
Rzuć na tę ziemię cnoty i miłości ziarno;
Rzuć je szczodrze, jak bogacz twą dłonią [ofiarną...
A szczęście... wtedy sobie wypracujem sami.

Czy wiecie że....

Kanarki ważą tylko 18 do 20 gramów.

*

Króla Sjamu tytułują „królem białego słonia"

*

W Chinach okulary uważane są za przedmiot, przynoszący szczęście.

*

Zasypani śniegiem słyszą każde słowo, które wypowiedziane zostało w pobliżu, natomiast nawet krzyk zasypanych nie może przebić się przez powłokę śniegową.

ROZMAITOŚCI

Umarł ze strachu przed żółwiem.

Znany artysta rysownik i sportsman Louis J. Rhead liczący 69 lat zamieszkały w Nowym Jorku, został znaleziony nieżywy w swej letniej rezydencji w Amitville, Long Island. Rhead'owi udało się schwycić w pobliskiem jeziorze wielkiego żółwia, ważącego przeszło 30 funtów. Widząc takkiego potwora Rhead przestraszył się, dostał ataku serca i w kilka godzin umarł.

Szkielet na Lesznie.

Powieść

przez

28) **Walerego Przyborowskiego.**

(Ciąg dalszy.)

Tak mówiąc wesoły, wypoczęty, wyruszył do Heliglasa.

Na wszelki wypadek ukrył w kieszeni mały, krótki kastet z ołowianą gałką.

XV.

O samej dwunastej, której zegar ratuszowy nie zdążył jeszcze wydzwonić, zjawił się doktor u Heliglasa.

Otworzył mu jakiś jegomość z czarną brodą, z miną mocno podejrzaną, kulejący na jedną nogę. Doktorowi zdawało się koniecznie, że twarz tę i postać gdzieś już widział i skądś ją zna. Nieznajomy łyskając z podełba czarnemi i złemi oczami spuścił głowę i głębokim basem spytał:

— Pan doktor Żubr?

— Tak.

— Pan Heliglas czeka pana.

To mówiąc, zamknął starannie na klucz i zasówkę drzwi od schodów i kuśtygając a opierając się na lasce grubej, poszedł przodem i otworzył jedne z drzwi, znajdujących się w przedpokoju. Doktor znalazł się w gabinecie poważnie i wykwintnie umeblowanym, pełnym bronzów, rzeźb, obrazów, przeważnie nagich kobiet i paru szaf bibljotecznych...

Heliglas siedział w głębi, przy wielkiem biurku i liczył stosy bankowych papierów, które układał w paczki.

— Ach! to ty młodzieńcze?... bardzo dobrze, że przybywasz, właśnie skończyłem liczenie pieniędzy. Ogromną masę ich zabierasz. Siadaj proszę cię.

A gdy doktor rzucił dokoła wzrokiem podejrzliwie i na drzwi się obejrzał, bo nagle przyszło mu na myśl, że teraz, kiedy Heliglas ma pomocnika, z łatwością go mogą zamordować, gospodarz rzekł, śmiejąc się:

— Nie lękaj się niczego. Nie byłbyś bezpieczniejszy na łonie matki, niż tu jesteś. Nie zapominaj wreszcie o tej niezaprzeczonej prawdzie, że zbrodnię popełnia się tylko w ostateczności, gdy już innego wyjścia niema. Otóż między nami nic podobnego nie zachodzi. Ułożyliśmy się, jesteśmy wzajemnie ze siebie zadowoleni, pocóż, jabym cię miał zamordować i krew przelewać. Ja nie lubię krwi... krew jest duszny sok, jak powiada poeta. Dalej! siadaj i licz te pieniądze, które do ciebie należą. W każdej paczce jest tysiąc rubli... paczek zaś trzydzieści, a zatem... w w duszy resztę sobie dośpiewaj.

Heliglas był rozpromieniony, uradowany, wesoły i śmiał się ciągle i zacierał ręce, jak człowiek, któremu wielki kamień spadł z serca.

Podsuwał paczki doktorowi, który przeliczywszy parę, oraz ogólną ich ilość, rzekł:

— Bardzo dobrze! racz mi pan dać arkusz papieru i sznurka, bym to wszystko mógł zawinąć.

— Za pozwoleniem — zawołał Heliglas, kładąc swą białą, tłustą rękę na pieniądzach — nie spełniasz młodzieńcze warunków umowy. Racz przedewszystkiem wystawić wymagany kwit, rewers, cyrograf, jak chcesz nazwij go. Oto masz papier i pisz.

— Pozwól pan co mam pisać?

— Pisz podyktuję ci.

Podniósł oczy w górę, zrobił minę uroczystą i zamyśloną, jaką zwykli przybierać ludzie prości i mało wykształceni, gdy poczynają pisać.

— Ja niżej podpisany — dyktował Heliglas — zdrowy na ciele i umyśle, uroczyście oświadczam niniejszem, że wszystko co tylko mogło mi się należeć ze spadku po śp. ciotce mojej Marji Czaplicównie od W-go Ryszarda Heliglasa odebrałem i niniejszem tegoż kwituję, zapewniając i zrzekając się na przyszłość wszelkich do niego z tego tytułu pretensyj. Warszawa, dnia 17 czerwca 1869-go roku.

— A teraz podpisz. Tak... ślicznie. Pieniądze możesz zabrać i zawijać. Tam leży papier i sznurki.

I trzymając w ręku cyrograf doktora, zagłębił się w fotel i mówił:

— Śliczny majątek bierzesz. Dwakroć sto tysięcy... to fortuna. Strzeż się jednak, młodzieńcze, nadużyć tego szczęścia. Szczęście jest, jak kobieta, gdy się raz z rąk wymknie, już jej więcej nie uchwycisz. A nadewszystko młodzieńcze strzeż się kobiet! strzeż się kobiet! One mnie zgubiły... niestety i gubią jeszcze.

Doktor nic na to nie odpowiedział, tylko starannie paczki z biletami bankowemi zawijał w paczki i sznurkami okręcał.

— Cóż? zjesz ze mną śniadanie? — spytał Heliglas.

— Oczywiście, że zjem. Jestem przecie więźniem pańskim, a z głodu nie mam wcale ochoty umierać.

— Ba! mając zwłaszcza dwakroć sto tysięcy złotych w kieszeni. Widzisz — tu wskazał ręką na swój gabinet — jak sobie tu pięknie urządziłem... a teraz trzeba to opuścić i za bezcen sprzedać i tułać się znowu. Istotnie ja jestem nowy żyd wieczny tułacz. Ale co to o tem mówić!.. chodźmy jeść, bądźmy weseli i spieszmy się, nadewszystko spieszmy się, bo ja nie mam ani jednej chwili do stracenia.

Wprowadził go do stołowego pokoju, gdzie już przygotowane było bardzo obfite i wykwintne śniadanie.

Usługiwał im ów mrukliwy jegomość, który otworzył doktorowi drzwi.

— Ten człowiek — rzekł Heliglas — będzie cię młodzieńcze strzegł i po czterdziestu ośmiu godzinach cię uwolni. Ten pokój i sąsiedni będzie twojem chwilowem mieszkaniem. Zostawiam ci trochę książek, żebyś się nie nudził. Spodziewam się, że nie będziesz się starał uwolnić, coby się zresztą do niczego nie doprowadził, gdyż człowiek ten ma rozkaz w takim razie nie oszczędzać cię wcale.

— Nie mam wcale zamiaru uciekać — odpowiedział doktor — i umowy postanowiłem dotrzymać ściśle.

— Bardzo pięknie. Więc jedzmy.

Sam jadł szybko, a nasyciwszy się powstał i rzekł:

(Dokończenie nastąpi.)

Chodzące ryby.

Założyciel „Stowarzyszenia akwarjów" w Filadelfji, William T. Innis, wygłosił niedawno ciekawy bardzo odczyt o niektórych szczególnych gatunkach ryb W pierwszym rzędzie wymienić tu należy t.zw. ryby chodzące, których przedstawicielem jest okoń chodzący. „W czasie niepogody, — mówi p. Innis — szczególnie zaś podczas płytkiej wody, okoń chodzący opuszcza swój strumyk rodzinny, udając się na poszukiwanie głębszej wody. Jego pletwy są w zupełności dostosowane do podobnych przechadzek, dzięki czemu może on bez najmniejszych trudności odbywać dość dalekie podróże na lądzie". Obok ryb chodzących, na wyróżnienie zasługują ryby skaczące, które przed składaniem ikry wyskakują z wody na gałęzie drzew, stojących nad wodą. Tam składają one ikrę, chcąc w ten sposób uchronić swe potomstwo przed rozmaitemi żarłokami wodnemi.

Wąż zbawcą i mścicielem.

W Trineville w Indjach kursuje między centrum miasta a jednem z odległych przedmieści autobus, przebywający olbrzymie i odludne parki. Pewnego razu wsiadła wieczorem do autobusu, zupełnie pozatem pustego, pewna bogata Hinduska z dzieckiem. Drogocenne jej klejnoty obudziły chciwość szofera. W pewnem odludnem miejscu zatrzymał on autobus, zrabował kobiecie jej ozdoby, a ją samą wraz z dzieckiem wrzucił do starej studni. Studnia była wprawdzie dość głęboka, ale nie było w niej dużo wody. Potem odjechał.

Kiedy nazajutrz przejeżdżał tamtędy, zatrzymał się i podszedł do studni, by się przekonać, czy ofiary jego zmarły. Ku swemu przerażeniu zauważył, że kobieta jeszcze żyje i wydaje słabe wołania o pomoc. Obok studni leżał wielki złom kamieni. Nie namyślając się wiele — zbrodniarz podniósł kamień, aby go stoczyć na głowę nieszczęśliwej. Tu jednak położyło na nim rękę Przeznaczenie. Pod kamieniem ukrywał się ogromny okularnik. Rzucił się on w tej chwili na szofera i zabił go na miejscu.

Pasażerowie, których zdziwił długi postój, podeszli do studni i zaglądnęli do jej wnętrza. Uratowali kobietę i jej dziecko. Zrabowane zaś klejnoty znaleziono w mieszkaniu zabitego zbrodniarza.

Chicago, miasto zbrodni.

Wielkie miasto St. Zjednoczonych, Chicago, w kronikach kryminalnych amerykańskich zaczyna zdobywać pierwsze miejsce. Dokonywane w nim wszelkiego rodzaju zbrodnie stają się tak częste, że stanem tym zainteresowali się już nawet karykaturzyści, wykpiwający srodze „naiwność" ludności tego miasta.

Oto np. jedna z karykatur. Głowa rodziny — ojciec czworga małych dzieci — wybiera się na miasto. W tym celu nałożył maskę gazową, hełm, zabrał karabin maszynowy pod pachę, a zwykły karabin przewiesił przez ramię i wychodzi. Podbiega do niego jednak w ostatniej chwili żona i zalewa się łzami. Na ten znak dzieciaki też robią wrzask każde po swojemu. A biedny ojciec rodziny tłumaczy: „Nie bójcie się i nie płaczcie! Ja tylko do rogu idę — po gazetę".

Inna karykatura. Szpital dla niemowląt. Ze wszystkich drzwi wielki krzyk. Wszyscy wybiegają na korytarz i pędzą w pewnym kierunku. Co się tam stało? Kogo gonią tak gwałtownie? Wszyscy biegną za maleństwem jakiemś, które jest nawet bez koszulki. A u dołu, pod karykaturą taki oto komentarz do niej: Co tylko przybyłe na świat niemowlę skradło lekarzowi portfel i uciekło z sali operacyjnej.

Życie rodzinne doznało ze względu na złe warunki bezpieczeństwa ogromnego wstrząsu; do pewnego stopnia możnaby do obywateli Chicago zastosować powiedzenie, że postępują wszyscy tak, jak gdyby nie wiedzieli ani dnia ani godziny. Karykatura uwidacznia ten nastrój w taki miły sposób. W sali siedzi pani z synkiem; synek jest najwidoczniej bardzo wystraszony, a mama tak już jest zdenerwowana, że nawet nie zauważyła że robota z rąk jej wypadła i leży na podłodze. Na to wszystko otwierają się drzwi wchodzi służąca i głosem jakby z zagrobu zapytuje: „Proszę pani! Już 20 po szóstej, a naszego pana dotąd niema. Czy mam zatelefonować do biura czy też do urzędu rozpoznawania trupów?"

Na ulicy ruch ogromny. Samochody mkną jeden za drugim, jak szalone. Wszystko zdaje się spokojne jest i rozważne. Naraz przy jednym z zawrotną szybkością pędzących samochodów pęka guma; ma się wrażenie, że ktoś wystrzelił. I w jednej chwili cała ulica podnosi ręce do góry — jakby na żądanie bandytów to czyniła. A lęk nerwowy jest tak powszechny, że ręce do góry nietylko podnoszą mieszkańcy domu siedzący na drugiem piętrze, lecz nawet chłopiec, sprzedający gazety, rzucił wszystko na chodnik i ręce do góry wyciągnął, ba, nawet pudła samochodów przebijają jadący energicznym wyrzutem rąk w górę. A w jednym miejscu samochód stanął dęba: i on chciał podnieść ręce do góry!

Dziwnie nerwowe miasto — to Chicago, stolica amerykańskich kiełbas, szynek i konserw.

Wesoły kącik.

Synowska duma.

Dama do wyrostka:

— Poznaję cię chłopcze. Wyrosłeś i jesteś całkiem podobny do ojca. Masz jego oczy i nos.

— I jego spodnie dodaje malec z dumą.

W restauracji.

Gość, czytając jadłospis:

— Zupa żółwiowa... Hm... miałem raz żółwia.

Gospodarz. — A więc te zwierzęta istnieją w rzeczywistości.

Za szczery.

— Nie wyjdę za pana, ale mogę panu dać miejsce w mojem sercu,

— O nie dziękuję nie lubię ścisku...

O 5-tej rano.

Mąż wraca podchmielony.

Żona: — Ach Franeczku, nie spałam całą noc

Mąż: — I ja też, droga żonusiu nie zmrużyłem oka..

Ofiara.

— Cóż to? znów jesteś pijany? A przysięgałeś mi, że będziesz walczył z alkoholizmem.

— Ja walczyłem, ale zostałem pokonany.

Na ulicy.

— Pozwoli sobie pani towarzyszyć? —

Ależ panie, pan może myśli... — O, spójrz pani tylko, czy ja wyglądam na takiego co myśli.